WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA W KRAKOWIE WYNOSI:
DO KOŃCA ROKU 4 KORONY.
NUMER POJEDYŃCZY 20 h.
20 CENTIMÓW, 20 FENIGÓW, 10 KOP.

GŁOS
LITERACKI I SPOŁECZNY.

WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA ZAMIEJSCOWA WYNOSI:
DO KOŃCA ROKU 5 KORON.
ZA GRANICĄ — 5 MAREK, 5 FRANKÓW ALBO 2 RUBLE.

Wydawca: KONSTANTY WOŹNIAK.
Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7.
Telefon Nr. 309.
Redaktor: KAZIMIERZ EHRENBERG.

„Głos literacki i społeczny“ dołączany jest jako bezpłatny niedzielny dodatek dla wszystkich abonentów dziennika „Głos Narodu“.

Nr. 12. Kraków, dnia 30. września. 1900.

Pana Knopfloch Jojny żywot bogobojny, Za Jehowy łaskiem z wierszem i obrazkiem

Napisał KONSTANTY KRUMŁOWSKI.
Ilustrował JÓZEF KRUSZEWSKI.

I.

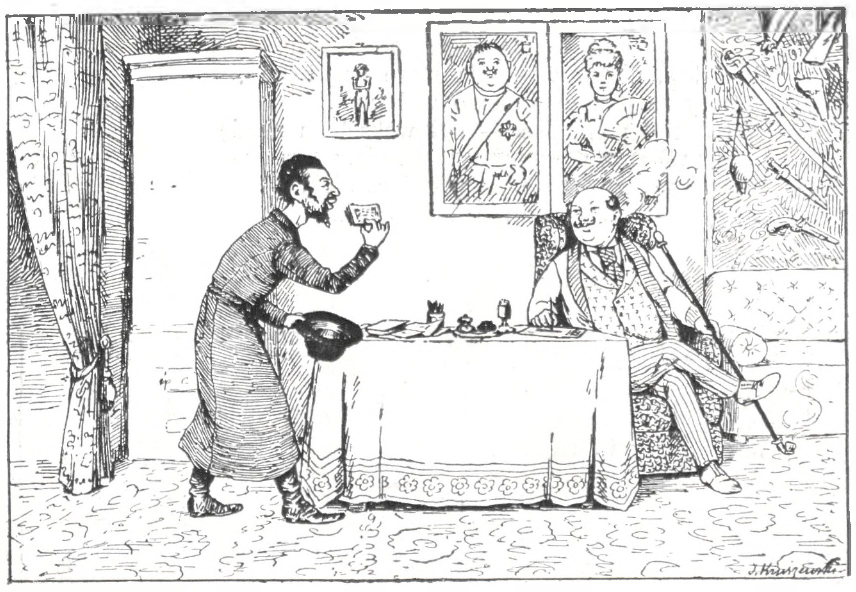
Znany od lat wielu był i jest i będzie
Zacny ród Knopflochów; siedział na arendzie.
Handlował ze wszystkiem z wyśmienitym skutkiem,
Z bardzo cienkiem piwem, z bardzo mocnem wódkiem,
Bo miał propinacyę na trzy wsi jedyną.
Robiał interesa i z chłopską pierzyną,
Czasem zafantował jakie krowy dojne..
Na to wszystko dobrze patrzał młody Jojne.
A nauka chłopcu przychodziła letko
Umiał chłopu pisać już podwójną kredką —
Gdy dorósł — z popędu swej wschodniej natury
Kupował kradzione jajka albo kury.
Ród jego czcił talmud — nienawidził „goja“,
Znał trochę kryminał.,.. Ale „to rzecz swoja“
Jak ojciec nieboszczyk — tate Knopfloch mawiał.
Lecz kiedy starego „ślag niezdrowy zawiał“
I poszedł na łono Ojca Abrahama,
A w ślad za nim poszła i od Jojny mama,
Został biedny purec samotny jak palec.
Lecz, że chłopiec serce miał jak gęsi smalec,
Wnet poślubiał sobie zezowatę Surkę
Co od podrabinka była siódma córke.
Siał dalej cebulę na tej samej grzędzie
I na tej co ojciec szachrował arendzie.

II.



W niedzielę po sumie przychodzi chłop głupi —
Niechże się zabawi, niechże go żyd złupi!
Krąży flasza w koło — piją gospodarze,
Dał jeden kolejkę — zaraz drugi każe.
Sąsiad do sąsiada, kum z kumem przeciwko,
Arak i wódeczka — wódeczka i piwko!
Uwija się żydek między nimi chudy,
Gospodarzom jeszcze karty dawszy wprzódy.
Niech przy ich zabawie zarobi po trosze,
Od każdej partyjki tylko po 2 grosze!....
Przez żydowskie karty, żydowskiego sznapsa,
Niejeden gospodarz zeszedł całkiem na psa.

III.



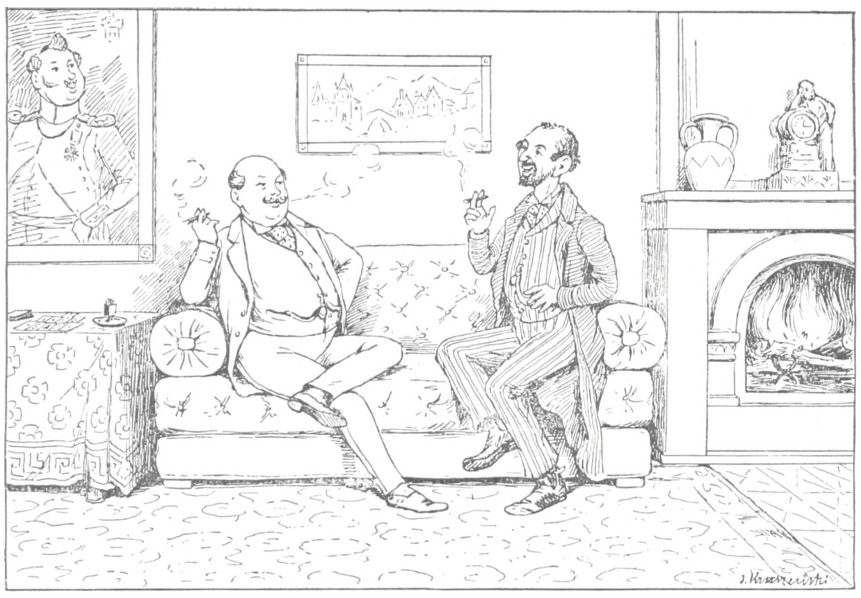
Pana Knopfloch Jojne ten zaszczyt zaszczyca
Że jest zaproszone do sam Pan Dziedzica.
Jaśnie Pan w fotelu z fajką sobie dmucha.
Jojne czuje wielki respekt dla cybucha.
A więc z odległości należnej osobie
Pragnie znać, co Jaśnie Dziedzic życzy sobie?
Jaśnie Pan znów dmuchnął: tego — bagatelka
Chcę ci dać zarobić — suma jest niewielka...
Tego — dam procencik.... Czy rozumie Jojne?
Żyd odparł: Niech Jaśnie Pan będzie spokojne,
Ile trzeba będzie dam do Jaśnie rączek.
A Pan bąknął: Głupstwo tych parę tysiączek
I wytrzepał popiół — żyd dostał pulares
I z niskim ukłonem złożył na stół „bares“.
Dziedzic dzisiaj jeszcze do Paryża jedzie,
Jojne z swoją Surką wieczór zje dwa śledzie.

IV.



Jojne zajął krowę co mu wlazła w trawnik
I choć żyd zwyczajny nie „mecenarz — prawnik“,
Przeprowadził cały proces jak po mydle,
A za same koszta zajął chłopu bydlę
I na licytacyi sam je kupił potem.
Ucieszony sprawy pomyślnym obrotem
Sam wyciąga krowę z wieśniaczej obórki,
Z ogromnym rozkoszem swej kochanej Surki.
Chłop żyda pomstuje i zawodzi baba
Lecz litość u Jojny nie jest strona słaba.
— „Niech sobie piskujom polskie chłopy głupie
Ja znam paragrafy i mam rozum w kupie“!....
Za nim dla asysty sekwestrator kroczy
I oni dwaj tylko mają suche oczy,
Bo inni z pełnymi łez stoją oczyma
Lecz łzy i przekleństwo żyda się nie ima.

V.



Jaśnie Pan powrócił w przepysznym humorze
I znów „konferencyę“ z Jojną ma we dworze.
Paryskiem cygarkiem raczy żyda hojnie
I o cudach świata opowiada Jojnie.
Wiedeń, Paryż, Karlsbad — masz pojęcie żydzie
Jaki szyk, bogactwo, jak tam życie idzie!
A jakie kobietki!.... fakt, że warte grzecha.
— Jojne z nogiem kiwa, Jojne sze uśmiecha,
Jojne tak powiada do Jasnego goja
„Psiepraszam. a co tam robi rate moja“?
Dziedzica przebiegło coś tak jakby dreszcze,
Lecz żyd uspokaja: Ja zaczekam jeszcze.
Ja jestem uczynny — dla mnie bagatelka
Dopożyczę jeszcze do tego wekselka.
Pan dostał pieniądze — dał weksel na zgodę
I łaskawie żyda potargał za brodę.
I kazał zaprzęgać do paryskiej czwórki
A Jojne piechotą powrócił do Surki.

VI.



Ja tu Pan, ja Dziedzic — ja szedzę w pokoju
A ty zaraz za drzwi winosz mi sze goju!
Ja tu z urzędową przichodzą osobą
Ja nie potrzebuję mieć Interes z tobą!
— Ja cię tu nauczę! — ryknie Dziedzic — żydzie!
„Proszę Pana bardzo, niech Pan sobie idzie
Wtrącił sekwestrator, bo tu je komisya
Z Sądu nakazana; tu mam akt: eksmisya“!
Dziedzic zaś, obtarłszy załzawione oko.
Uczuł do Ojczyzny urazę głęboką:
„Więc na nic z zasługą, na nic z krwią szlachecką!...
Na kanapie tłumi się żydowskie dziecko.
Pałac cały przejdzie cebuli zapachem“....
Wyrzucany Dziedzic myśli nad tem z strachem,
Z dawnych mu pamiątek nie zostało wiele
Bierze miłą fajkę — starą karabelę.
Na której wyryty znak Świętego Krzyża
I tę torbę, z którą jeździł do Paryża!

VII.



Żemski „obiwatel“. istota szczęśliwa!
Czyta sobie „Naprzód“. w fotelego kiwa
Cygara hawańskie w tłustą gębę wtyka.
A z lornetkiem obok Jaśnie „Dobrodzika“,
Widokiem się dzieciów z cmokaniem zachwyca.
Z któremi parluje bona — fracuzica,
— Kikste!? — rzekł, zwracając wzrok swój rozjaśniony,
Nowy dziedzic w stronę swej kochanej żony:
U nas wszystko *nobel* do ostatniej nitki.
I nikt dziś nie pozna, co mi byli żydki!
— Tak jest drogi Jojne, Sura odpowiada,
Jak gdybyśmy byli szlachta z pra-pra-dziada.
— Nazywaj mnie Juliusz.... To „Jojne“ za głupie.
O szlachectwo mniejsza.... Ja szlachectwo kupię.
I w pałac nasadzę sto herbowych znaków....
Przechodziła właśnie gromadka wieśniaków.
Chłop tu nie pozdrawia dziedzica jak wszędzie.
Zamarło im w gardle pobożne „niech będzie“
W imię Boże pana tego — nie pozdrowi,
W milczeniu czapkuje „Jaśnie Dziedzicowi“.

„Psubraty“.

Powieść na tle stosunków współczesnych.

(Ciąg dalszy.)

Opowski namyślał się tylko przez chwilę, co ma począć z tym fantem. Myśl, aby zawiadomić komisarza o otrzymanym liście i zwrócić władzy prezent od Janinchen, przemknęła mu wprawdzie przez mózg, ale tylko jako ewentualność, która równałaby się szaleństwu. Włożył pierścionek na palec, przypatrywał się przez chwilę w oknie blaskowi brylantów, — potem zaś, podarłszy na drobne kawałeczki list, zapalił papierosa, włożył kapelusz na głowę i wyszedł.

Z początku nie wiedział dobrze dokąd ma iść właściwie. Dzień był słoneczny, ulice Wiednia roiły się wesołym tłumem. Kiedy hr. Włodzimierz znalazł się na Grabenie, uwaga jego oderwała się już zupełnie od rozmyślań nad zleceniem Janinchen; zaabsorbowała go całkowicie blondynka o delikatnym profilu i w kapelusiku z zielonego aksamitu, która jak mu się zdawało „robiła do niego oko“. Zawrócił więc, aby pójść w ślad za nią. Blondynka skręciła w Kärtnerstrasse i przed Operą wsiadła do tramwaju. W tramwaju Opowski usiłował zabrać znajomość. Wiedenka zachęciła te usiłowania uśmiechem i powłóczystem spojrzeniem. Po kilkunastu minutach dowiedział się, że ma do czynienia z „sierotą po urzędniku magistrackim“, która znała wielu grafów z Galicyi i wogóle przepadała za Polakami. Kiedy tramwaj dojeżdżał do statuy Tegetthofa, Opowski miał już wyznaczone „rendez-vous“ na dzień następny. Na razie pożegnał się z nią, ponieważ Mizzi miała w Wenecyi wiedeńskiej spotkać się z „wujaszkiem“. Wracał przez Praterstrasse pieszo, bezmyślnie błądząc oczami po przechodniach, po oknach i po werendach kawiarń, kiedy nagle wzrok jego padł na szyld wywieszony w oknach pierwszego piętra naprzeciwległego trotoaru. Opowski przystanął i odczytał go uważnie. Szyld zawierał nazwisko Adolfa Spitzbarta, polecającego się jako prywatnego delektywa do wszelkich dyskretnych usług i poleceń z gwarancyą najzupełniejszej dyskrecyi. Nazwisko nie mówiło nic Opowskiemu; natomiast myśl posłużenia się prywatnym detektywem dla zawiązania napowrót stosunków z Janinchen i odkrycia jej obecnego miejsca pobytu, uczepiła się go odrazu. Przeszedł się kilka razy po trotuarze tam i napowrót, spojrzał na szyld raz jeszcze, wstąpił do kawiarni, wypił kieliszek koniaku i usiadł przy stole, z którego mógł dokładnie widzieć wypisane między oknami nazwisko Spitzbarta. Wziął do ręki gazetę i począł myśleć, czy i w jaki sposób ten Spitzbart na cokolwiek przydać się może w zadaniu jakie czekało Opowskiego. Wreszcie zdecydowany, wstał prędko, rzucił pieniądze na stół, przeszedł szybkim krokiem ulice, wbiegł nerwowo na schody i przycisnął guzik elektrycznego dzwonka pod czarną stalową tablicą z napisem „A. Spitzbart. Privatdetectiv“.

Służąca wprowadziła Opowskiego do ciemnego saloniku o ponurem umeblowaniu. Okna przysłonięte ciemnemi portyerami przepuszczały tylko wąski strumień światła. Drzwi wybite były grubym dywanem przygłuszającym odgłos kroków. Na stole leżały obok illustracyj, dzieła prawnicze, przewodniki adresowe, oraz ogromna księga z klamrą. Opowski któremu polecono zaczekać kilka minut, próbował otworzyć tę księgę. Klamra była zamknięta na małą żelazną kłódkę. Odłożył więc księgę na bok i począł machinalnie przerzucać leżące obok, album z fotografiami.

Po przerzuceniu kilku kart, skoczył na równe nogi. Z albumu wychylała się do niego dobrze znajoma twarz — Gottlieba Müllera.

W tej samej chwili otworzyły się cicho drzwi i przed Opowskim stanął mężczyzna w średnim wieku, o wybitnym semickim typie, ubrany z przesadną elegancyą. Czarna hiszpanka i wąs podkręcony ku górze nadawały twarzy mefistofelesowy wyraz.

— Jestem Spitzbart, — rzekł wchodzący nosowym głosem. — Czem mogę być panu pomocnym?

— Zanim panu powiem, kto jestem i jak się nazywam, zechciej mnie pan objaśnić, kto jest ten pan, którego widzę na fotografji! — odpowiedział zaintrygowany Opowski.

Spitzbart spojrzawszy na fotografję, obrzucił bystrem spojrzeniem gościa, poczem ugrzecznionym ruchem, ukazując mu miejsce, odparł swobodnie:

— To jest jeden ze znajomych mojej nieboszczki ciotki. Doprawdy nazwisko wypadło mi z pamięci. Jeżeli jednak panu na tem zależy, możemy się dowiedzieć. My się wszystkiego możemy dowiedzieć — dorzucił z naciskiem. Ale zapewne nie tej fotografii zawdzięczam zaszczyt widzenia pana u siebie. Wszak pan ją dopiero u mnie zobaczyłeś?

— Widzi pan, właśnie tak się dziwnie składa, że pragnąłbym się dowiedzieć, gdzie obecnie przebywa człowiek tak uderzająco do tej fotografji podobny, że jestem skłonny myśleć, iż to właśnie jest jego podobizna.

— Pan daruje — przerwał z uprzejmym uśmiechem Spitzbart — ze słów pańskich wnoszę, że pan pragniesz usług mojego biura. Pan pozwoli, że zapoznam go naprzód z warunkami.

To mówiąc zdjął Spitżbart wiszącą na ścianie tablicę, na której wielkiemi literami wypisane były cyfry najprzeróżniejsze.

— Wpisowe dwadzieścia guldenów, pierwsza konferencya 10 guldenów, dalsze rozmowy po 3 guldeny i naturalnie zwrot poniesionych kosztów. Czy panu te warunki nie wydają się zbyt wielkie?

— W razie, jeśli pańskie poszukiwania przydadzą się na co — odpowiedział Opowski — to oczywiście warunki te przyjmuję. W razie jednak, jeśli żadnego nie mają odnieść skutku, daruje pan, że wistocie uznam je za zbyt wysokie...

— Przykro mi bardzo, że nic opuścić nie mogę. U mnie są stałe ceny...

— Mniejsza o to — służę panu trzydziestoma guldenami, z tem jednak zastrzeżeniem, że resztę wypłacę dopiero po pomyślnem przeprowadzeniu dochodzeń. a względnie po oddaniu przysług, które mają dla mnie wielką wagę. Idzie o interes, mogący przynieść wielki zysk; honoraryum może więc być obfite. Zresztą zrobimy co do tego umowę.

Spitzbart słuchał uważnie, lecz podejrzliwie. Znał on potrochu sprawki Müllera z czasów wspólnego z nim pożycia w gospodzie pod „Złotą Armatą“, gdzie go zastępował podczas jego podróży do Ameryki i dlatego dowiedziawszy się, że młody gość interesuje się osobą oberżysty uznał za stosowne zająć pozycyę rezerwowaną, bał się bowiem, aby nie mieć do czynienia z wysłannikiem policyi. Jakkolwiek zaś Spitzbart pozostawał w ciągłem porozumieniu z tajnemi ajentami policyi a nawet nieraz przez policyę był do różnych celów używany, nie był siebie zupełnie pewnym, wiedząc, że w wyższych biurach policyi patrzano na niego z uprzedzeniem.

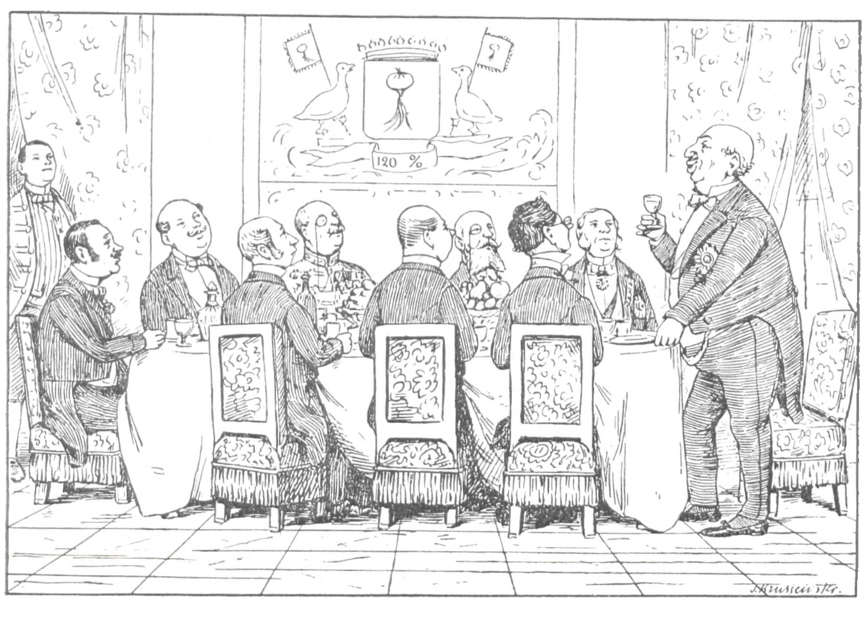
(C. d. n.) *Wacław Pancerz.*

VIII.



Cały kwiat żydowstwa czeka zgromadzony:
Ader, Bader, Pipes, Wolf i cztery Kohny,
Hajes, Fuchs, Margulies, trzy sztuk Vaternachty,
To reprezentanci „szmietanki od szlachty“,
Po tem przedstawiają już zwyczajne mleka:
Margiel, Kwargiel, Hering i rodzina Drecka,
Wreście pozostaje wyliczyć z ostatka
Eisen, Bas i Widrich — niby jak serwatka;
Wszyscy naszej wiary — wszyscy jednej miszli,
Posła tu prziwitać solidarnie prziszli.
A gdy wreście wyszedł poseł z wielkim brzuszkiem,
„Wiwat“ zakrzyknęli wszyscy jednym duszkiem,
On im z kapeluszem z pod serca sze kłania
I mówi, że chciałby zjeść z nimi śniadania,
„Wiwajt“ znów krzikniała naszych cała masa
A on ich zaprosił na śledzia do Frassa!

IX.



Z okazyi posiedzeń i przeróżnych ankiet,
Pan poseł wydaje dla ministrów bankiet.
Kto tam był? czy może pan sobie zapitasz?
Każdy co sze ino nazywa „dygnitarz“,
Minister i kontrol-sektionsszef.... Rzecz prosta,
Że na szarym końcu siedział już starosta.
Wszyscy z tem przyjęciem byli zachwyceni
Może pan zapitasz jakie było „meniu“?
Nie! już nie wyliczę tegi wszystko chyba
Dość, że była także po żidowsku ryba!
Co pan poseł mówił? aj! waj! płakać chce się,
Wun mówił, co teraz żyjemy w okresie;
W ten sens sze wiwnętrzniał i tak dalej, dalej,
Że z kontentowania aż wszyscy psykali.
Ja już nie pamiętam, ale zdaje mi się
Skończył staropolskiem naszem „Kochajmy się!“
Trzeba było widzieć co tam się wyrabia!
Aż mu lewą rękę podał jeden hrabia,
Drugi go poklepał i nazwał „kolegą“,
A trzeci pożyczył dziesiątkę od niego.
Takie to zaszczyty, klepania, pochwały,
Spadły na grzbiet jego — a z nim na kraj cały.

X.

Te są proszę państwa życiowe koleje,
Które wun przejechał — to są jego dzieje,
Które potomności na papier podajem
Teraz do widzenia z Państwem:
Szulem! hajem!

Emil Faguet.

Przed laty dwudziestu powszechną była we Francyi skarga, że krytyka literacka traci rację bytu i nieznacznie zanika. Dziś w dziedzinie tej panuje ruch niezwykły i nader interesujący, a inicjatorowie jego, Juliuss Lemaitre i Emil Faguet, zasiadają w najpoważniej instytucji, jaką szczyci się Paryż: w Akademii francuskiej. U nas rzecz taka zdaje się niemożliwą, jeśli zważymy, że niedawno prezes Akademii Umiejętności zestawił dziennikarzy-krytyków razem z akrobatami i pokątnymi djurnistami; nic też dziwnego, że krytyka, zwłaszcza teatralna, zeszła u nas do niskiego poziomu i służy po największej części za narzędzie w zakulisowych intrygach. Co prawda nie mamy też ludzi tej miary co Lemaitre lub Faguet, ale wart Pac pałaca a pałac Paca, czyli mówiąc otwarcie i bez osłonek: niegorsi są nasi krytycy od teatru i teatralnej publiczności.

Sylwetkę Lemaitre'a umieściliśmy w jednym z czerwcowych numerów „Głosu Narodu“, dziś zajmiemy się Faguetem.

Emil Faguet liczył już lat trzydzieści pięć, kiedy w r. 1883 wydał pierwsze swe dzieła krytyczne. Nie spieszył się wcale, co zadziwi zapewne dzisiejszą młodzież, tak pochopną do publikowania swoich arcydzieł. „Studja w XIX. wieku“ zjednały Faguetowi uznanie w kołach literackich, głośnym stał się jednak dopiero jako krytyk teatralny w „le Soleil“ i „les Débats“. W dramatycznych swych krytykach Faguet odznaczał się przymiotem, coraz rzadszym w dzisiejszej dobie: jest on w teatrze prawdziwie zamiłowany. Stąd u niego ta tendencyjna niemal życzliwość, z pomocą której usiłował wykryć wszędzie zarodki talentu. Stąd szeroki eklektyzm: Faguet przysłuchuje się równie bez uprzedzeń realistycznemu dramatowi jak i wodewilowi starej szkoły; podziwia szczerze „Upiory“ Ibsena, co wcale mu nie przeszkadza wytknąć poważne błędy autorowi „Potęgi ciemnoty“. Zresztą zdaniem jego, eklektyzm jest dzisiaj pierwszym obowiązkiem krytyka, albowiem w epoce przejściowej, kiedy się jeszcze niewie, jaką będzie ostateczna i prawdziwie płodna formuła, nie należy niczego wykluczać a priori. Stąd także u Fagueta płynie jowialny humor, jaki napotykamy w jego feljetonach. Kreśli je z werwą, tonem niemal familiarnym, w stylu szczerej konwersacyi.

To co uderza przedewszystkiem w spuściznie Fagueta, to absolutna niezależność myśli. „Ta książka napisaną jest ze szczerością i otwartością krytyka, od której nigdy nie zamierzam odstąpić.“ I dalej: „Należy wszystko widzieć i niczego nie ukrywać“. W ten sposób obiecuje być Faguet bezstronnym i co dziś dość rzadko się zdarza, dotrzymuje zawsze obietnicy.

Pierwsza forma niezależności polega na tem, aby do swych sądów literacko krytycznych nie mieszać dogmatów politycznych ani religijnych. Jestto forma jeszcze prymitywna i najniższy stopień niezależności. Bo jeśli produkcje literackie sądzić ktoś będzie według normy politycznej lub religijnej, może być znakomitym polemistą, ale nie zasługuje na imię krytyka. W Paryżu pamiętają jeszcze dobrze ogromny hałas, jaki wywołały studja Fagueta o wieku ośmnastym, w których zaraz na początku autor oświadcza, że czas już uwolnić Voltaire'a od pewnych pochwał i niektórych kompromitujących komplementów, a chwalić go za prawdziwe zasługi, nie za najmniej wartościową część jego literackiego dorobku. Zerwała się szalona burza. Można było w tej chwili skonstatować, jakie różnice dzielą ducha politycznego od ducha literackiego. Polityka rzeczą i obowiązkiem jest podporządkować wszystko, nawet prawdę interesom partyjnym, toteż polityk niema nawet pojęcia o bezstronności i poddawaniu się prawdzie, które to zalety są dla krytyka nieodzowne. Fagueta wyklęła cała prasa republikańska oraz „Etudes religieuses“ — widać, że umiał utrzymać się na stanowisku umiarkowania. Dostać się index dwóch skrajnych partyj jest zaiste niemałym sukcesem dla krytyka, któremu chodzi przedewszystkiem o bezstronność.

Są jednak i inne wpływy, od których nie tak łatwo się usunąć. Najpierw zależność od dogmatów literackich. Faguet nie należy do żadnej szkoły. Zdaniem jego nie istnieje wcale taka forma piękna, któraby miała wartość na zawsze, literatura bowiem znajduje w stanie ciągłej ewolucyi i zmiana, w braku postępu, jest jej niewzruszonem prawem. Faguet sądzi, że reguły sztuki są tylko formułkami, wynalezionemi przez pisarzy różnych epok celem wyrażenia ich gustów i sympatyj; „tesame reguły są prawdziwe lub fałszywe stosownie do artystów, którzy się do nich stosują lub nie“. „System, zdaniem krytyka „Débatów“, jest manią u ludzi, nieumiejących myśleć inaczej jak sami czują, którzy z popędów swych robią sobie ideę i w ramach jej usiłują pomieścić cały świat. System jest ideą u ludzi, którzy nie są zdolni, mieć ich dwie“. Co się tyczy jego samego, wszelkie pojęcie systemu lub metody jest mu wprost wstrętne i nigdy nie szuka on w dziełach potwierdzenia jakichś apryorystycznych teoryj. W tem znaczeniu można powiedzieć o nim, że jest krytykiem „personalnym, osobistym“. Wynikałoby z tego, że Faguet zbliża się do impresjonistów. A jednak tak nie jest.

Krytyk impresjonistyczny troszczy się przedewszystkiem o siebie samego, w książkach szuka zawsze swoich myśli, swoich wrażeń, w dziedzinie umysłowości jest skończonym egoistą. Faguet na odwrót sądzi, że celem krytyki jest zrozumienie dzieła, żeby zaś zrozumieć innych, trzeba zapomnieć o sobie i strać się wyjść poza swoją osobistość.

Nie być zależnym od żadnego dogmatu ani od swych sensytywnych wrażeń, stanąć wprost przed dziełem, które się studjuje, żeby nic nie mogło zamącić jego widoku — oto sposób widzenia wssystkiego. Pozostaje jeszcze „nic nie ukrywać“ tzn. wypowiadać całą swą opinię, jasno i dobitnie.

Idzie tylko o to, czy my mamy prawo wypowiadać kategorycznie i w formie decydującej rezultaty, do jakich doprowadziło nas studjum dzieła? Jeśli bowiem zważymy, że każda opinia o tyle jest prawdziwa, o ile nie wyklucza swego przeciwieństwa, czyż mamy prawo „mieć swoje zdanie“? Czy można być równocześnie człowiekiem wolnomyślnym i tolerancyjnym a zarazem affirmatywnym i stanowczym w swojej opinii? Podobno, że tak. Najłatwiej to wykazać na przykładzie. Edmund Scherer zarzucił Faguetowi, że na czele swych „Studjów o XIX. wieku“ pochwalił dzieło Dupuy'ego o Wiktorze Hugo, które jest właśnie antytezą jego własnej sylwetki, poświęconej wielkiemu poecie. Czy chwaląc to dzieło nie zadawał kłam sobie samemu i nie rezygnował z własnych idei“. Oto co odpowiedział Faguet: „Nie porzucam bynajmniej swych zapatrywań, ale nie mam nic przeciw temu, żeby kto inny myślał inaczej niż ja. Ze swojego punktu widzenia Dupuy może mieć rację. Tylko, że ja patrzyłem swojemi oczyma, a nie cudzemi. Sądzę, że dobrze widziałem to na co patrzałem; jeśli nie pojąłem całej prawdy, w każdym razie odkryłem jej cząstkę. Niech inni uzupełnią moje studjum, choćby nawet musieli je zwalczać“.

Opinia u Fagueta zmienia się w przekonanie, które wypowiada z odwagą, a nawet z pewną zuchwałością. W krytykach jego przebija nawet nieco kokieteryi w dobitnem określaniu zapatrywań: nie zna on ani domyślników, ani ostrożnej rezerwy i zastrzeżeń. Woli żywe i cieliste kolory niż delikatne odcienie. Każdy jego portret literacki wygląda jak obraz, kreślony z rozmachem, w ostrych konturach i grubą kredą: czasami nawet akcentuje on jeszcze jakiś rys, podwaja epitet, kładzie nacisk na jakiś przymiotnik, dokłada wogóle wszelkich starań, aby czytelnik nie miał żadnej wątpliwości co do właściwej myśli autora. Kiedy Faguet chce nam zaznaczyć, że Balzac nie miał odrobiny taktu i dowcipu, porównuje go z komiwojażerem, z praktykantem notarjalnym, weterynarzem lub masarzem z małej mieściny. Otwartość graniczy u Fagneta z brutalnością.

Szczerość i otwartość są właściwościami temperamentu i charakteru; wśród zalet umysłowych Fagueta, dominuje zamiłowanie precyzyi, pragnienie i niemal namiętność do ścisłości. Skąd u niego pewna nieufność do wszelkich ogólników. Nie można zaprzeczyć, że idee uniwersalne bardzo są w literaturze pożyteczne, w rzeczy samej jednak są to tylko hipotezy, niedokładne, z pewnego punktu widzenia fałszywe, które kiedyś ustąpią miejsca innym a i te niedługa czeka wegetacya. Faguet nie wyklucza idei ogólnych, ale stosuje je z niesłychaną ostrożnością. Taksamo odmawia on sobie ogólnych poglądów na jakąś epokę czy też autora, nie chcąc zaniedbywać szczegółów i tracić z oczu pewnej, niezbitej prawdy. Pomija kwestye pochodzenia i pokrewieństwa dzieł, wpływu autora na innych literatów, wogóle ogranicza się tylko do charakteryzowania osób i poszczególnych ich produkcyi literackich.

Przedewszystkiem jest Faguet portrecistą. Usiłuje on zawsze postawić dzieło we właściwym miejscu i zrobić postacie podobnymi do modelu, do czego służy mu zazwyczaj studyum „milieu“, analiza dążeń epoki i znajomość najbliższego otoczenia przedmiotu. Pomijając zazwyczaj suchą biografię, Faguet kładzie szczególny nacisk na charakter człowieka, a i z charakteru uwydatnia tylko te rysy, które wpłynęły na płody literackie. Błędy prywatne W. Hugo podnosi Faguet nie celem poniżenia poety, lecz ponieważ one wpłynęły niekorzystnie na umysł autora „Crépuscules“. Jeśli Faguet kładzie nacisk na gminność i ordynarność natury Balzac'a, to jedynie celem wytłomaczenia niektórych jego lichszych płodów.

Filozofowie nie mają racji, sprowadzając jakieś dzieło do jednej głównej ideii i do tzw. „faculté maitresse“ autora. Natura ludzka jest ogromnie skomplikowana

a rzeczą krytyka jest wykryć wszystkie jej sprężyny i motory i określić je z dokładnością mechanika, nie pozwalając się, obałamucić motorem głównym. Takimi też są studja krytyczne Fagueta. Takie portrety jak Buffona, Montesquieu, J. J. Rousseau'a, (XVIII. wiek), Chateaubrianda i W. Hugo (Wiek XIX.), Józefa de Maistre'a, Guizota, pani Staël i Benjamina Constanta (Politycy i moraliści) są skończonymi arcydziełami. Jeśli nie można powiedzieć, że kontury i barwy są definitywnie zgodne z modelami, to jednak długo będziemy musieli czekać, zanim ktoś zbliży się jeszcze bardziej do prawdy i oczom naszym przedstawi lepsze podobizny.

Warto może dowiedzieć się, w jakich autorach Faguet szczególnie był rozmiłowany. Otóż sympatje jego skłaniały się wyłącznie ku pisarzom „myślicielom“, jak ich nazywa pani Staël. Nawet tym, którzy chcieli być tylko artystami i poetami, nie przebacza nigdy, że tak łatwo mogli obchodzić się bez idei. Dla Teofila Gautier jest Faguet okrutnym. „W najlepszych, najartystyczniejszych wierszach Gautiera nie ma nic, ale to zgoła nic. Nalewa on z pustego w próżne. Jego punktem wyjścia i celem jest stałe zero“. Wysoko stawia krytyk piewcę „Eloy“, Alfreda de Vigny i ceni go bardzo za usposobienie filozoficzne i bystrość myśli. Wiek dziewiętnasty dlatego podoba się szczególnie autorowi „Polityków i moralistów“, że poruszył najwięcej kwestyi i idei. Literatura wieku poprzedniego jest powierzchowna i płytka. O Diderocie powiada Faguet: „Należy raz powiedzieć, że to pisarz w najlepszym razie drugorzędny“. O Voltairze: „Umysł płytki i wcale nie bystry, który nie wnika ani w wielkie kwestje, ani w wielkie nauki, ani w ducha wielkich ludzi, który nie rozumie zgoła ani starożytności, ani wieków średnich, ani chrześcijaństwa ani żadnej innej religii, ani Pascala, ani Montesquieu, ani Buffona, który podobny jest raczej do zabawnego deszczu iskier, niż do wielkiej pochodni na drodze ludzkości“.

Tożsamo spotykamy w „Politykach i moralistach“: Fagnetowi imponuje przedewszystkiem myśl i zamiłowanie w kombinacjach dyalektycznych czy etycznych.

Co się tyczy formy, styl Fagueta jest prosty i lojalny, bez kwiatków i bez sztuczek literackich. Nie znać w nim retora ani też pochlebcy, goniącego za popularnością. Każde wyrażenie uderza akuratnością, prawie matematyczną. Zdania są krótkie, ucinane, o krótkim oddechu, niemal gorączkowe, toczą się szybko i gładko, choć niema w nich miękkości Renana ani elegancyi Lemaitre'a. Niektóre z definicyj Fagueta, krótkie a dosadne, przytaczamy dla przykładu. Lamartine „jest geniuszem, który nie raczył okazać talentu“; Balzac „ma spostrzeżenia geniusza i refleksję idjoty“; Guizot to „potężny duch trzymany na wodzy przez silną wolę, wielki myśliciel skrępowany przez męża stanu“, pani Staël „ma umysł europejski a duszę francuską“ i t. d. Wszystkie te formuły zachwycają swą ścisłością.

Możnaby jeszcze podnieść kilka rysów charakterystycznych Fagueta; wszystkie jednak łatwo sprowadzić do zalet, zaznaczonych w niniejszej sylwetce, na szczegółowem omawianiu szczegółowych odcieni charakteru Fagueta nie zyskałby ani czytelnik ani znakomity krytyk francuski.

Karuzel w Praterze.

Wuj mój, Jan Chryzostom Talapkiewicz, był mi drugim dobrym ojcem. Opiekował się całą naszą rodziną, dopomagając owdowiałej a pięciorgiem dzieci obarczonej mojej matce, a swej siostrze, radą i czynem. U nas było bardzo chudo. Nieboszczyk ojciec mój odumarł nas wcześnie. Miałem wówczas siedem lat skończonych. Został po nim dość duży majątek ziemski, ale na hypotece prócz galicyjskiego banku hypotecznego, siedział jeszcze Jojna Fischbein z dziesięcioma, Abramko Szlifka z siedmioma, i Sarah Pipawerowa z pięcioma tysiącami guldenów a nadto były jeszcze weksle ojcowskie na kilka tysięcy w obiegu. Ojciec mój miał ciągle nadzieję, pracując ciężko dniem i nocą, iż zdoła się wydobyć ze szponów żydowskich lichwiarzy, jednak kiedy on umarł, znikła wraz z nim i nadzieja. Wuj mój, obliczywszy dokładnie pozostały majątek w stanie czynnym i biernym, rzekł mojej matce bez ogródki:

— Nieboszczyk szwagier łudził się, jak to często u naszej szlachty bywa — myśląc o utrzymaniu Psiajówki przy teraźniejszych cenach zboża, gdzie pszenica kosztuje sześć guldenów. O tem niema i mowy. Siostro musisz sprzedać wszystko nic nie pomoże. Zostanie wam około, piętnaście tysięcy ze sprzedaży.

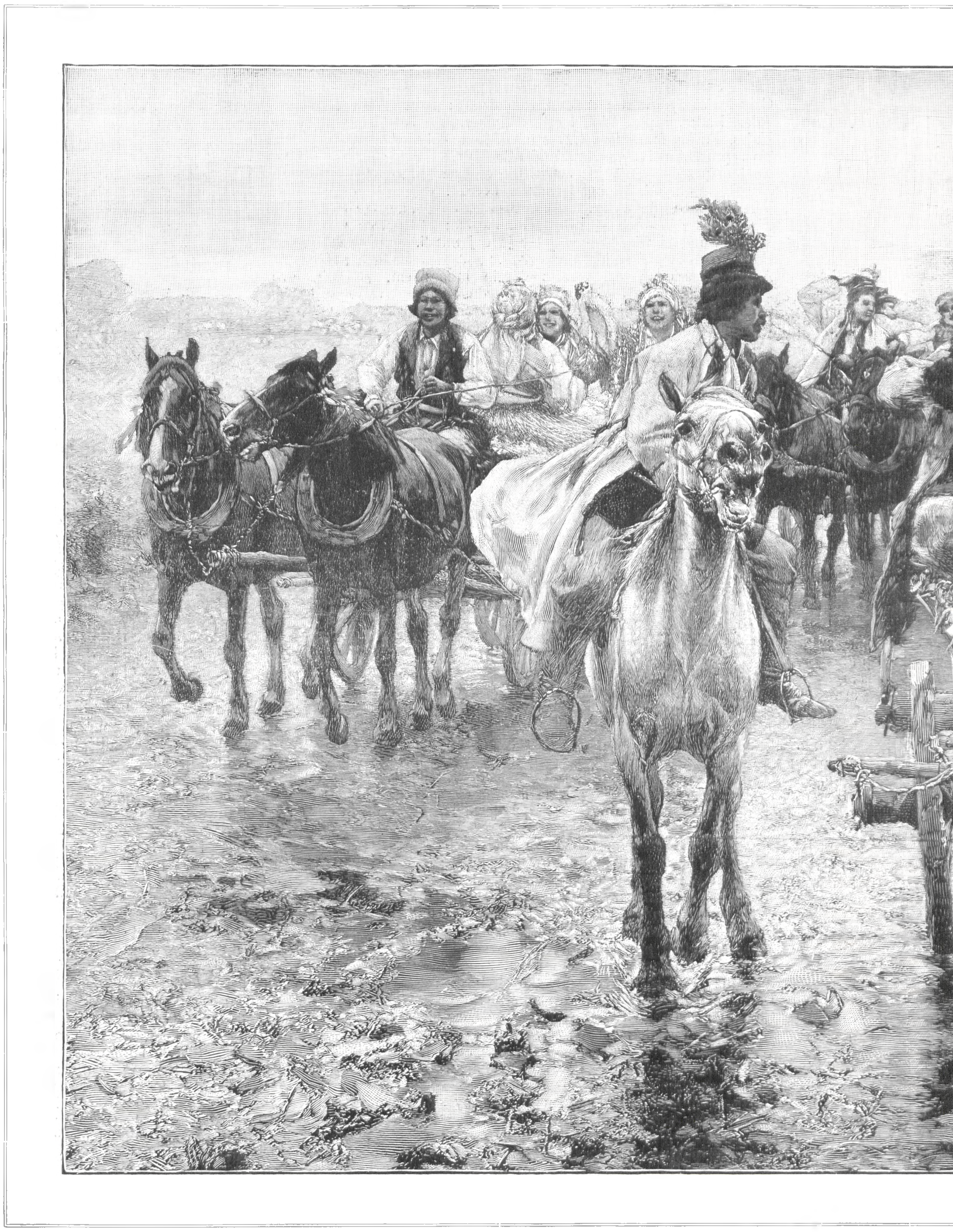
Kiedy matka moja na myśl opuszczenia drogiej sercu wioski i gniazda rodzinnego, w którem przeżyła tyle lat w szczęściu i dostatku zaczęła płakać rzewnie, pocieszał ją wuj, mówiąc:

— Co znowu płakać! fe, niech się siostra wstydzi! ale te białogłowy dalipan, to jak fontanny ze swojem beczeniem. Płakać nie ma czego. Wszak jestem ja. Psiajówkę siostro sprzedaż, jak powiedziałem; co wam zostanie wezmę ja do siebie i ulokuję wam na swej hypotece, dam wam dworek na Wólce na mieszkanie, będziecie tam mieli piękny sad, duży ogród warzywny i łąki, no a na życie będą procenta. Ależ, duszko, przestań raz płakać!.... Co braknie, szczególnie na edukacyę dzieci — dołożę — mam dzięki Bogu z czego, a jako stary kawaler nie zabiorę ze sobą majątku na tamten świat. Od czegóż jestem opiekunem!....

Jak rzekł, stało się. Matka zamieszkała z rodzeństwem w dworku na Wólce. Starszy mój brat wyświęcił się zeszłego roku na księdza; siostry młodsze odemnie kształciły się w domu głównie na wzorowe gospodynie, wedle woli wuja, który „parlowanie“ francuzkie i grę na fortepianie uważa za głupstwo w naszem położeniu, żeby, jak mówił, mogły być pożytecznemi żonami — a ja skończywszy gimnazyum u św. Anny w Krakowie, jestem już drugi rok na prawach w Wiedniu, dokąd mnie wysłał, abym się dobrze nauczył po niemiecku, gdyż dla adwokata, któremu to zawodowi zamierzam się poświęcić, język niemiecki jest wedle jego zdania koniecznie potrzebnym.

Poczciwy wuj posyłał mi w Krakowie na utrzymanie czterdzieści guldenów regularnie każdego miesiąca, kupował książki i płacił czesne osobno, a kiedy przybył do grodu podwawelskiego, zaopatrywał mnie we wszystkie potrzeby i na odjezdnem wściubiał mi jeszcze do ręki kilkanaście guldenów jak powiadał „na łakocie“. Do Krakowa przyjeżdżał wuj mniej więcej co pół roku, bawiąc po dwa lub trzy dni. Wybierał czas tak, kiedy po niedzieli następował dzień świąteczny, żebym był wolnym od szkoły i mógł mu towarzyszyć w jego zygzakowych przechadzkach po mieście. A bywaliśmy wówczas, jak dzień długi, od rana do wieczora na nogach, zwiedzając wszystkie osobliwości miasta: kościoły, starożytności, zbiory, sztuki, wystawy, rozmaite zakłady, a nawet instytut konfinicyjny dla trzody chlewnej.

— Jestem hreczkosiejem — mówił wujaszek — od młodości. Siedzę na wsi już przeszło pół wieku, dlatego, kiedy przyjadę do miasta, chcę korzystać z czasu, i widzieć wszystko, uczyć się tego i owego. Człowiek uczy się najlepiej metodą — oglądania wszystkiego co mu się nawinie pod rękę. Mnie ojciec wziął z infimy do gospodarstwa, nie miałem zatem w szkole czasu oświecać mój umysł — staram się więc zbierać wiadomości, gdzie mogę, a potem jestem wielkim amatorem sztuki, szczególnie obrazów. Mam też kilka pięknych i cennych dzieł sztuki u siebie w Pipidówce. Zwiedzaliśmy więc każdym razem osobliwości iście aż do opadłego. Podziwiałem dobrego wuja, który, dźwigając już szósty krzyżyk na barkach, był niezmordowanym. Nie mogłem mu dotrzymywać kroku, nieraz opadałem z nóg, co on miarkując, mawiał mi: — Wstydź się chłopcze!.... w tym wieku!.... mój Boże, kiedy byłem tak młody, byłbym dalipan obiegł ziemię na okoliświe. Pożal się Boże, młodzież dzisiejsza jest tylko na oko pokaźna. Ciesz się chłopcze na Wiedeń. Wiedeń to nie Kraków. Zostanę tam cały tydzień, bo wszystko, rozumiesz mnie, wszystko co stolica naddunajska ma osobliwego muszę widzieć. Kupiłem sobie Smólskiego przewodnik „Wiedeń i okolice“, przestudyuję go od deski do deski, żebym w Wiedniu mógł się obracać, jak w Krakowie i wiedział gdzie co jest do oglądania. Ciesz się więc chłopcze na Wiedeń.



CHŁOPSKIE WESELE.

Jestem tedy w Wiedniu. Poczciwy wujaszek nie odwiedził mnie jeszcze. Nareszcie otrzymuję od niego list następującej osnowy:

„Kochany chłopcze! W piątek przyjadę pospiesznym pociągiem o godzinie czwartej popołudniu do Wiednia. Oczekuj mnie na dworcu koleji północnej, bo trudno dałbym sobie radę w całkiem obcem i tak olbrzymiem mieście. Chociaż przewodnik wiedeński umiem prawie na pamięć, to przecież ulic rozkładu nie znam a tak samo i ich nazw. Pójdę do marszałka Tryszkowskiego — znasz go przecież: jest posłem naszej ziemi w radzie państwa, adres: rzymska jednostka B. — co znaczy to *b* duże doprawdy nie wiem — Oppering 10. i zaawizuj mu mój przyjazd wraz z serdecznem pozdrowieniem odemnie, dla mnie zaś zamów pokój w „Hotel Continental“ — może być i na drugiem piętrze, ale nie drożej, jak najwięcej dwa guldeny za dobę. Ściskam Cię serdecznie i całuję jako wuj kochający

Jan Chrzyzostom Talapkiewicz“.

Postscriptum. Dobrze, iż sobie przypomniałem. Obstaluj mi zaraz sto niemieckich kart wizytowych z napisem: *Jan Chryzostom Ritter Talapkiewicz von Pipidówka, letzte Post Koniatyn in Galizien.*“



...az Wierusza Kowalskiego.

Poczciwy wujaszek przybył do Wiednia w czasie oznaczonym. Zakwaterowałem go w wymienionym powyżej hotelu i jeszcze tegosamego dnia puściliśmy się na miasto, którego topografię chciał poznać na poczekaniu. Ale jakże obiedz tak duże i rozległe miasto w kilku godzinach! Zchodziliśmy więc w szerz i wzdłuż tylko środkowe miasto, z jednego końca na drugi, potem w około po *ringu*, a kiedyśmy stanęli na *quai* przy moście Ferdynanda, wskazałem wujaszkowi jego hotel na drugim brzegu kanału dunajskiego, myśląc, że mu już dość na dziś przechadzki i uda się do domu na spoczynek. Ale gdzie tam! Ofuknął mnie poczciwy wuj, iż jestem taki „wygodnicki“ i „leniuch“.

— Pójdziemy — rzekł — dziś jeszcze na wieczorne posiedzenie do parlamentu. Chciałbym się zobaczyć z marszałkiem. A daleko to ztąd?

— Całkiem na przeciwnej stronie — odparłem — trzeba iść dobrze dwadzieścia minut. Ale możemy dojechać tramwajem.

— Co znowu! od kiedy żyję nie jechałem tramwajem i jechać nie będę. To dla szwabów dobre, ale nie dla nas. Dobryś sobie być ściśniętym jak śledź w beczce i pospolitować się z gminem. A niechaj mnie Bóg uchowa od tego. Chodźmy!

Nimeśmy weszli do parlamentu oglądaliśmy gmach dobrą godzinę zewnątrz, z przodu i z tyłu, z lewego i prawego boku. Podobał się wujowi niepospolicie.

— Ach, kochany marszałek!

— Doprawdy, drogi sąsiad tu, co za niespodzianka!

Podwójny cmok z jednej i znowu z drugiej strony zawtórował powitaniu, kiedy wujaszek spotkał na kurytarzu marszałka — posła Tryszkowskiego, wychodzącego z bufetu.

— Sąsiad — mówił marszałek, dłubiąc wykłuwaczem zęby — nie uwierzy jak my tu pracujemy. Dziś już drugie posiedzenie w izbie — nadto, mości dobrodzieju, komisya — tu koło, tam deputacya do ministra i jeszcze prywatnie nagabują człowieka najróżnorodniejsi petenci. Powiadam sąsiadowi, iż to prawie do niewytrzymania. Ale czego człowiek nie robi dla kraju, dla dobra ogółu?

W dalszym toku rozmowy zaczął marszałek wyłuszczać wujowi, co on wszystko zrobił w parlamencie dla kraju i powiatu, większej posiadłości narodu, wyborców i t. p., jak on się poświęca bezgranicznie w służbie publicznej, chociaż — Bogiem a prawdą, dobry marszałek, który już lat siedm czy ośm posłuje — ani razu jeszcze nie przemówił ani w kole, ani żadnej komisyi, ani też w izbie i ani jednego wniosku nie przedstawił chociażby na piśmie. Ale za to uczęszcza najpunktualniej na wszystkie obiady „koalicyjne“, bywa zawsze na recepcyach u ministrów i co tygodnia przyjmuje u siebie herbatą pewną grupę posłów z koła, która dlatego, iż odbywa swoje narady w mieszkaniu marszałka zowie się vulgo „stronnictwem Tryszkowskiego“.

— Muszę spieszyć do izby — rzekł w końcu marszałek — bezemnie trudno by się tam obeszło. Mam jeszcze stawić ważny wniosek, poruczony mi przez komisyę parlamentarną. Wie kochany sąsiad, że ta hołota antysemicka, młodoczeska i jak się tam zowie opozycya, mówi wciąż i bez końca. Trzeba więc tej gadaninie kres położyć. Wymaga tego interes rządu jako też i koalicyi parlamentarnej. Poruczono mi zatem wnieść: *„Schluss der Debatte!“* Zwykle stawia takie wnioski poseł Klusecki, specyalista od tego, ale obecnie jest on chory. Przypadło mnie więc zadanie zastąpić go. Mówię kochanemu sąsiadowi, iż człowiek prawie nie może podołać nadmiarowi pracy. Może sąsiad chce się przypatrzyć i przysłuchać posiedzeniu. Dziś mówić będzie Vaszaty. Oto bilet do loży dyplomatycznej... ale kochany sąsiad w towarzystwie siostrzeńca, niestety nie mam drugiego biletu, może siostrzeniec zechce zaczekać w sali audjencyonalnej.

— A dobrze!

— Schody na prawo — loża dyplomatyczna. Muszę lecieć do izby — dla Boga już zwołują nas dzwonkiem. Wyznaję sąsiadowi, iż mam tremę, chociaż jestem ostrzelanym parlamentarzystą. Będę dziś pierwszy raz przemawiał w izbie — no, mój wniosek. Powstrzymywałem się dotychczas od zabierania głosu w izbie z powodu nieszczególnej znajomości języka niemieckiego. Tym razem muszę. Zresztą wyuczyłym się mowy na pamięć. Najprzód: *„Bitte ums Wort!“*, a kiedy prezydent udzieli mi głosu powiem dźwięcznie i dobitnie: *„Meine Herren, ich beantrage Schluss der Debatte!“*

Wujaszek poszedł do loży, a ja czekam w sali audjencyonalnej. Siadłem pod światłem, wyjąłem z kieszeni książkę — nowelle Zygmunta Niedźwieckiego i czytam... czytam z przyjemnością jedną po drugiej aż do końca tomiku. Spoglądam na zegarek — godzina jedenasta. Służący zaczynają gasić światła. Pytam jednego z nich, czy posiedzenie będzie trwało jeszcze długo — odpowiada mi, że się już skończyło. Cóż z wujaszkiem? Szukam go na kurytarzu, tu go niema. Wszyscy już wychodzą — gdzież on mi się zawieruszył? Idę na pierwsze piętro, rozpatruję się po łożach, tu światła także już w połowie poprzygaszane i w pół mroku spostrzegam w dużej środkowej loży jakąś postać ludzką, wspartą na poręczy galeryi. Może to wujaszek? Istotnie był to on. Spał tak smacznie i twardo, iż trudno było się go dobudzić. Pierwszem jego słowem było:

— Gdzie marszałek?

— Poszedł już spać — odparłem.

Przetarł oczy, zaczął się rozglądać po pustej sali, a potem rzekł: „Vaszaty snać już skończył swoją mowę. Jak widać posiedzenie skończone, czas i nam iść!“

Czas był istotnie ostateczny, inaczej byliby nas zamknęli na całą noc w parlamencie. Nazajutrz o godzinie siódmej z rana stawiłem się u wuja wedle rozkazu do apelu. Zwiedzaliśmy na zabój wszystko, podług programu ułożonego przez niego jeszcze w Pipidówce, jedną osobliwość po drugiej, między temi także rzeczy wcale nie osobliwe, jak: piwnice banku austro-węgierskiego, szkołę weterynaryi, podziemia kościołów i t. p. W cesarskiej galeryi obrazów byliśmy przeszło godzin cztery, stamtąd udaliśmy się do mennicy, potem do „belwederu“, ogrodu botanicznego, remizy tramwayów, stajen dworskich i Bóg wie gdzie jeszcze, a wszędzie piechotą, bo wujaszek nie chciał się cisnąć i pospolitować z gminem w tramwayu, a dorożki wydawały mu się strasznie drogie.

Nazajutrz to samo — czwartego i piątego dnia nic jak zwiedzania. Upadałem już z nóg na seryo. Dawniejsi *„laufrowie“* także więcej nóg nie natężali.

— Nie mówiłeś mi nic — rzekł wujaszek — po dwunastu godzinach marszu i oględzin — że wystawa obrazów w towarzystwie sztuk pięknych jest otwartą. Muszę ją zobaczyć — prowadź mnie tam.

Masz znowu! Cóż robić — wujaszka trzeba słuchać — oporu on nie znosi. Idziemy więc do „salonu“, chociaż brak mi tchu. Dzięki Bogu, żeśmy nakoniec stanęli u celu. Zaraz w pierwszej sali rzucam się na pierwsze lepsze krzesło i nie ruszam się wcale.

(Dok. nast.)

W godzinę zgonu.

Nieraz można się spotkać z twierdzeniem, iż ostatnie przed śmiercią wypowiedziane słowa są niejako sumą całej działalności życiowej danego osobnika i najcenniejszym dokumentem dla ocenienia jego dążeń, gdyż podmuch śmierci zrywa z twarzy ludzkiej nawet maskę obłudy. W historyi spotykamy setki takich „ostatnich słów“, których prawdziwość wszakże w niewielu tylko przypadkach zasługuje na bezwzględną wiarę; inne, częstokroć bardzo efektowne, muszą być zaliczone do anegdot, w które obfituje nawet magistra vitae — historya. Do ich rzędu należy zaliczyć słynne odezwanie się Dantona, który na chwilę przed śmiercią miał powiedzieć do jednego z przyjaciół: „Gdyby i na tamtym świecie miały istnieć rewolucye, to nie będę się do nich mięszał!“ Ostatni jęk Goethego „Światła, więcej światła!“ tłomaczony przez wielbicieli genialnego poety jako wskazówka dla postępu ludzkości, mógł być równie dobrze wywołany przed zgonnem zaćmieniem wzroku; Otylia Goethe, synowa poety, która go pielęgnowała w czasie choroby, zaprzeczyła nawet stanowczo, jakoby z ust autora „Fausta“ miały wyjść podobne słowa.

Słynnemu filozofowi Heglowi wkładają znowu w usta „ostatnie słowa“: „Tylko jeden mnie rozumiał, a i ten nawet źle mnie zrozumiał!“ Wobec znanej zawiłości wywodów Hegla takie powiedzenie zakrawa na dowcip, dokonywany znacznie później, a — trzeba wyznać — dość niestosowny. Przynajmniej małżonka filozofa, opisując śmierć męża nie wspomina o tem ani słowa. Pięknie brzmiący wyrzut Cezara: „Et tu Brute?“ powstał również, jak się zdaje, w bujnej wyobraźni ludzkiej, gdyż historycy milczą o nim zawzięcie; według Suetoniusa Cezar rażony sztyletem padł na ziemię nie wydawszy nawet jęku. Schiller, jak twierdzą jedni, chciał na chwilę przed zgonem „rzucić okiem na słońce“ — inna jednak wersya wkłada mu w stygnące wargi słowa: „coraz lepiej, — coraz spokojniej“. „W Twoje ręce, o Panie!“ szeptał, umierając pobożny Torquato Tasso, Klopstock skonał ze słowami: „Jesteśmy wszyscy w ręku w Boga!“.

Wieland opuszczając ten świat zapytał, z Hamletem: „Być albo nie być?“ a Locke z iście filozoficznym spokojem zakończył życie słowem: „Dość“. Ostatniem życzeniem Mozarta było usłyszeć jeszcze raz muzykę, a tego samego pragnął Mirabeau. „Czas spać!“ rzekł Byron oddając ducha; bliskość końca widział równie jasno Alfieri, mówiąc do jednego ze stojących przy swem łożu przyjaciół: „Uściśnij mi rękę, mój drogi, teraz umieram!„ Theodor Vischer konając powtórzył synowi dwa razy z naciskiem słowo: „Praca!“ Ostatnie chwile Kromwella były dlań widać niezbyt bolesne, gdyż przed zgonem westchnął: „Jestem uwolniony!“. Cała duma rzymskich imperatorów odbija się w słowach Vespazyana: „Cesarz musi umierać stojąco!“, Augustus zaś rzekł tylko: „Komedya skończona!“ Równie spokojnie czekał śmierci król angielski Jerzy IV, zadając obecnym pytanie: „Czyż śmierć nie jest niczem więcej jak tem?“. Zato królowa Elżbieta wołała w agonii: „Całe królestwo moje za chwilę życia!“ Pewną obawę przed sądem Bożym wyrażają słowa Fryderyka V: „Moje ręce nie są zmazane krwią!“.

O słynnym dyrektorze kliniki uniwersyteckiej w Wiedniu J. P. Franku (zmarł w r. 1821.) opowiadają co następuje: Ośm „gwiazd“ świata medycznego czuwało przy jego śmiertelnem łożu. Naraz chory wybuchnął śmiechem, a na zapytanie, co to ma znaczyć, odpowiedział: „Przypomniała mi się anegdotka o grenadyerze, który leżąc na polu bitwy pod Wagram, liczył swoje rany. Porachowawszy je, zawołał: „Parbleu, ośmiu kul potrzeba na to, aby odebrać życie francuskiemu grenadyerowi“. „Was także jest ośmiu!.“ I z tymi słowami na ustach, śmiejąc się, przeszedł do lepszego świata.

Dziennikarze polscy w Galicyi.

Cykl sylwetek.

Skreślił Eneston.

Stanisław Czerwieński.

Factotum „Gazety Narodowej“, czyli taki pan, na którego bezbrzeżnie wytrzymałej głowie jak rok boży długi i nudny spoczywa wszystko, co potrzebne, „aby numer wyszedł“. Zabijająco pracowity. Od 6 rano do 6 wieczorem z wiecznie tym samym sardonicznym uśmiechem robi korektę i „rewizyę“, ożywia kronikę, wycina fejletony o modzie, fastryguje telegramy, wygładza nadesłane skrypta a przy tem wszystkiem ani mu przez myśl nie przyjdzie domagać się „ośmiogodzinnej pracy“. Taki żywot pędzi od lat dziesięciu to jest od czasu, kiedy skończywszy prawo zamienił biurko dependenta na biurko redakcyjne.

Obecnie dobiega trzydziestki. Starannie wygolona cała twarz każe się w nim domyślać raczej aktora niż dziennikarza; gości na niej uporczywie wyraz jakiegoś przygnębienia; to też gdy ją uśmiech wykrzywi grymasem rozbawienia, przypomina mocno nieboskłon zasnuty mgłami, z za których wyglądnęło z niechęcią słońce. W takich chwilach błyska (nb. Czerwieński, nie słońce) dwoma rzędami zębów, przypominających perły, ale... fałszywe. Źrenice jego zmęczonych i jakby zgaszonych oczu zdają się powtarzać z uporem manjaka: „Smutno mi Panie na tej nędznej ziemi“.

Z tem wszystkiem Czerwieński posiada wybitny nerw dziennikarski i wyrobiony niesłychanie zmysł oryentacyjny w bieżących kwestyach. Jeśli te dwie rzeczy stanowią o talencie dziennikarza, to Czerwieński ten talent rozmienił na drobne i opędza niemi wytrwale a skutecznie kłopoty, piętrzące się wokół każdodziennego numeru „Narodówki“. Wyrwany z tych kłopotliwych ram, Czerwieński tęskniłby za niemi jak długoletni więzień za swą ciemnicą. W niedzielę i święta studyuje heraldykę, numizmatykę i antropologię i inne specyalne takie nauki, ale to tylko tak, sztuka dla sztuki.

Po całodziennej robocie objawia się przeważnie w „Teatralnej“, gdzie w gronie „wybranych“ i przystępie dobrego humoru, dopuszcza się „cichcem“ przeróżnych nawet bardzo ciętych „witzów“ i aforyzmów. Wygłasza je wówczas przytłumionym głosem i z twogą, oglądając się wokoło, jakby z obawą, by go kto na podobnej psocie nie przyłapał. Ożywia się tylko w widowni teatralnej, zwłaszcza gdy na scenie rzecz „idzie pod psem“. Kulis nie znosi i ślubował sobie, że noga jego tam nie postanie. Na punkcie kobiet twierdzi wogóle, że życie ludzkie jest za krótkie, żeby je przetańczyć choćby koło najlepiej skrojonej sukni kobiecej. W dniach nowiu księżyca obiecuje sobie do swego interesu gazeciarskiego dorobić jeszcze doktorat prawa i otworzyć potem kancelaryę adwokacką. Powtarza sobie zaś to tem uporczywiej, że tymczasem tryby koła dziennikarskiego, w które wpleciony został, obracają się coraz to... coraz to szybciej... Nad sztuką fotograficzną przeszedł do porządku dziennego tj. nie fotografował się nigdy. A ponieważ na tym punkcie jest nieprzekonanym dlatego też podobiznę jego musi sobie każdy z czytelników w duszy swej... dośpiewać.

Teofil Merunowicz.

Żywy, chodzący i niczem niezaprzeczony dowód, że i dziennikarz... może wyjść na ludzi. Zaczął przed 33 laty od zwykłego korektora w „Gazecie Narodowej“, licząc wówczas 21 wiosen życia. A wstosownej chwili umiał zakasać rękawów i przysiąść fałdów a tę sumienność i rzutkość życiową łączył zawsze z pokaźnym talentem publicystycznym, więc też ta „Narodówka“ zrobiła go z czasem naprawdę w całem tego słowa znaczeniu „mości panem“. Orał sumiennie, ale też wyorał sobie wcale nieszpetną pozycję życiową. Od roku 1881 posłuje na Sejm krajowy, od 1897 zasiada w parlamencie, od lat szeregu przytem jest sekretarzem lwowskiej Rady powiatowej. Był pierwszym prezesem Tow. dziennikarzy polskich i to przez pierwszych lat dwa jego istnienia.

Z pierwszego wejrzenia zaraz przegląda Rusin. A to tymczasem zdecydowany Polak, tylko grecko-katolickiego obrządku. Ku nieopisanemu zadowoleniu wszystkich znajomych obchodzi zawsze święta ruskie. Posiada niezmiernie sympatyczną twarz, taką naszą, poczciwą, słowiańską, która na cię patrzy dwojgiem siwych, pogodnych i jakby uniżonych oczu i ośmiela pociągającem, zwykłem u Rusinów w Galicyi wschodniej zaokrągleniem rysów. Fryzura mimo 54 lat swego istnienia znakomicie zachowana, tylko miejscami już dziś mocno szpakowata. Efekt całokształtu „pana posła“ jest taki, że chciałoby go się z miejsca przebrać w „płótniankę“, podpasać barwną „krajką“ i w rękę wetknąć biczysko zamiast pióra. Tego rodzaju *exterieur* jest znakomitym atutem w czasie wyborów z kuryi wiejskiej a jeszcze więcej w czasie uchwalania *votum* zaufania.

Trzeba przyznać, że Merunowicz jest naprawdę chłopskim posłem. Dba o swych wyborców. Gdy przemawiał przeciw zniesieniu stempla dziennikarskiego, a pytano go dlaczego, odpowiedział, że obawia się, czy deficyt stąd powstały, nie zapłacą przypadkowo... chłopi. To mu nie przeszkadza, że z przekonań politycznych jest nałogowym „Kolarzem“ t. j. członkiem „Koła polskiego“, tego piątego koła u wozu polityki austryackiej i solidarności jego broni na zabój z zapałem godnym lepszej sprawy, bo nawet, gdy chodziło o uchwalenie czci... zmarłego cara. W Sejmie nie należał nigdy do żadnego ze stronnictw ruskich. Dziwnie małomowny o sobie. Dla każdego interwiewenta przedstawia orzech nie do zgryzienia.

Jako publicysta jest tym biczem bożym, którym szlachta podolska, politykę uprawiająca, chłoszcze swe przeciwniki. W jej organie nadwornym „Gazecie Narodowej“ operuje w szpaltach wstępnych, które zapełnia obrokiem politycznych wywodów, niepozbawianych tu i ówdzie temperamentu, ale zaprawnych czasem mocno otrębami. Jeden z pierwszych zdecydowanych dziennikarzy-antysemitów w Galicyi. W swoim czasie na tym punkcie ogromnie zapalny i gwałtowny. Pewnego razu napisał nawet bardzo namiętną broszurkę antysemicką, należącą dziś do rzadkości bibliograficznych. Jako członek lewicy sejmowej nie ścierpiał zasiadających tam obok niego żydów. To było powodem, że z lewicy wystąpił i założył swój własny klub. W fazie obecnej jego życia antysemityzm ten dziwnie przycichł i przytępiał. Swej „Gazecie Narodowej“ ślubował do śmierci wierność. Złamałby tę wierność gdyby przypadkowo (co nie daj Boże) z jej zgonem owdowiał. Narazie nie zanosi się ani na jedno ani na drugie.

SECESYA.

Charakterystyczną cechą konającego stulecia jest powstanie lub wznowienie masy nowych słów, które znajdują się co chwila na kartkach książek, w łamach dzienników, oraz na ustach wszystkich niemal wykształconych, lub nawet niedokształconych ludzi. Możnaby z nich utworzyć całą specyalną encyklopedyę. Z tego *embarras de richesse* wyrazów pozwalam sobie wybrać jeden, w przekonaniu, że jakiś encyklopedysta przyszłości, mający kiedyś pisać historyę naszej cywilizacyi, będzie może kontent, znajdując taki literacki preparat, rozczłonkowany, zbadany i wymacerowany według wszelkich prawideł medycyny literackiej. Prócz tego, do pracy popycha mnie również głębokie przekonanie, że słowo „secesya“ o którym chcę mówić, bywa mimo całej swej popularności bardzo często fałszywie pojmowane i tłomaczone. Przystępne wyłożenie jego znaczenia jest zadaniem, które przedsięwziąłem.

Rzecz naturalna, iż nie myślę w tym celu wyjeżdżać z ciężką artyleryą, z rozprawą zaopatrzoną n. p. tytuł: „Co to jest secesya i w czem leży jej istota„? Podobne filologiczno-historyczne monografie, zaopatrzone w olbrzymi estetyczno-krytyczny aparat, wlokące za sobą ogony cytat i plejady odnośników, mają prócz tysiąca innych innych wad, tę największą, że ich nikt nie czyta, bądź to dla braku czasu, bądź też dla innych rozsądniejszych powodów. To też zadowolnię się rzuceniem kilku uwag, które, jak tuszę, nie zostaną mi wzięte za złe w tak wysokim stopniu, jakby to spowodował jakiś gruby pękaty tom.

Kabalistyczne słowo, które przypomina brzmieniem syczenie węża, lub też odgłos noża ostrzonego na osełce, nie jest wcale nowe. Jeszcze plebejusze rzymscy nazwali „secesyą“ swoją wyprawę na „świętą górę“, a działo się to na 500 lat przed narodzeniem Chrystusa. Takich „secesyi“ było potem jeszcze kilka; południowe stany północno-amerykańskiej unii nazwały swoje wystąpienie ze związku również „secesyą“, ale dopiero w ostatnich latach rozpowszechniło się to wyrażenie, a tę popularyzacyę zawdzięczamy nie żadnym poważnym społecznym wydarzeniom, lecz sztuce, która zaanektowała dla siebie ten polityczne znaczenie posiadający wyraz, obdarzając gadającą i dysputującą ludzkość nowym terminem technicznym.

Zaszczyt pierwszego wprowadzenia „secesyi“ w świat sztuki należy się malarzom paryskim.

Ostre jarzmo krytyki pod które Jury paryskiego „Salonu“ poddawała ich obrazy, nie podobało się wolnej dziatwie Apollina. I pewnego pięknego poranku zebrali się pp. „nieprzyjęci“, „refuses“, aby wydać następujący werdykt: „Skoro naszych obrazów nie chcą przyjmować na wystawę, to teraz musimy je dopiero zacząć wystawiać i to wszystkie razem“! Odłączyli się od „Salonu, zaprosili pięknie publiczność i publiczność przyszła, przyszła chętnie i z ciekawością. Bo czyż można sobie wyobrazić większą „szopę“, jak obok wystawy „uznanych“ dzieł sztuki, drugą złożoną ze samych „nieuznanych“? Na szanowną P. T. Publiczność będzie nawet ten drugi rodzaj zawsze więcej przyciągające wywierał wrażenie, aniżeli pierwszy, bo obok sztuki ma w nim jeszcze senzacyę, coś w rodzaju „hecy“. A do tego nie trzeba ponoś nigdy zbyt długo nakłaniać ciekawego narodu. Ludek jest wszędzie jednakowy i pędzi masami tam, gdzie „coś się stało“.

W ten sposób *„Société des artistes françaises“* z *„Palais de l'Industrie“*, znalazło niebezpiecznego rywala na polu Marsowem gdzie rozbiło swoje namioty *„Société nationale des beaux arts.“* Efekt był piorunujący, tysiące Paryżan nawiedzało sale „nieuznanych“, a trzeba wiedzieć, iż Paryżanie mają dużo, bardzo dużo poczucia sztuki w ogóle, a malarstwa w szczególności. Swoją drogą odgrywanie roli protektorów w obec tej „secesyi“ nie było zbyt trudnem i zbyt wielkiego wymagającem poświęcenia. Bo chociaż nie brakowało na tej wystawie dzieł młodszych, częstokroć słusznie „zapoznanych“ malarzy, którzy chcieli przy cudzym ogniu upiec swoją chudą pieczeń, to jednak znaczną część secesyonistów stanowili artyści dobrze już znani i utalentowani, niepotrzebujący w gruncie rzeczy demonstrować i oddzielać się cel m zwrócenie na siebie uwagi.

O cóż więc szło właściwie, co się stało kością niezgody między „starszymi“ a „młodszymi“, jak chrzczono strony wojujące?

W Paryżu była nią właściwie tylko surowość Jury, która broniła wstępu do „Salonu“ dziełom niedość technicznie ogładzonym, gdyż o żadnym „kierunku“ co do treści obrazów nie mogło być wówczas jeszcze mowy. Wszakże ówcześni malarze francuscy byli już w tedy w stosunku do innych zachodnio-europejskich artystów „secesyonistami“, a francuskie obrazy z siódmego i ósmego dziesiątka lat bieżącego stulecia wyglądają obok współczesnych angielskich, niemieckich i innych dzieł sztuki zupełnie, „nowo“ a przedewszystkiem artystycznie i mistrzowsko pod względem techniki.

Przed kilku nowatorami zamknęły się drzwi „Salonu“ z powodu zbytniej swobody w technice, którą nawet jak na Francuzów za daleko posuwali. Inni ściągnęli na siebie banicyę swywolną treścią obrazów, w ogóle jednak zaczęto po niedługim czasie uważać „Secesyę“ niejako za dalszy ciąg, za annex *„Salonu“*. I tu i tam były równie przepyszne obrazy i statuy, wykwintny smak francuski nadawał obu wystawom równie artystyczne piętno, słowem, w krótkim czasie „Secesya“ straciła swój „pieprzyk“ i Paryżanie przyzwyczaili się do posiadania w miejsce jednego, dwóch „Salonów“.

Całkiem inaczej miała się rzecz w Niemczech, gdzie naprzód „zrewolucyonizowała się“ młodsza generacya monachijskich malarzy z Franciszkiem Stuckiem na na czele, wypowiadając wojnę akademickiej surowości. Tutaj mięszały się już inne, zasadnicze powody z technicznymi, że tak powiem, momentami.

Secesya monachijska zajęła w stosuku do „akademii“ o wiele ostrzejsze i bardziej szorstkie stanowisko, weszła w ścisły kontakt z kołami literackiemi i przybrała odrazu pewną charakterystyczną fizyognomię. Południowi Niemcy, trzeźwiejsi i bardziej ociężali od Francuzów zabrali się do rzeczy daleko niezgrabniej, aniżeli sąsiedzi ze zachodu i okazali się „gruntowniejszymi“ od nich, a to właśnie dodało secesyi niemieckiej sporo niepotrzebnego pedantyzmu. Zawrzała walka. „Jugend“ stanęła „zasadniczo“ w obronie „wolności sztuki“, postawiła „program“ i stała się organem partyi.

Przywódca tej secesyi został już obdarzony profesurą akademii, inni krzykacze także się uspokoili. Franz Stuck, pamiętny na rolę profesora pod wielu względami znacznie się umitygował, choć należy przyznać, że trzyma się obranego kierunku dość konsekwentnie, zachowując swoją odrębność. Ale jest to przecież rzeczą zupełnie naturalną, że młoda krew z czasem uspokaja się i że miejsce młodzieńczego rozhukania zajmuje rozsądne panowanie na sobą. Wprawdzie może i stary wiekiem człowiek pozostać w twór-

czości swej zawsze młodym i młodzieńczo świeżym, za dowód niech służą nazwiska Böcklina i Menzla. ale niespokojne rozbijanie się na czemś nowem, czyli t. zw. „szukanie dróg“ musi się skończyć nawet u młodego, gdy choć trochę podrośnie.

Secesya monachijska usiłowała stworzyć nowy styl, tak zw. styl „modern“, a w dziełach secesyonistów objawia się nawet pewne powinowactwo stylu.

Ten „styl“ został właśnie przez szersze koła publiczności ochrzczony nazwą secesyi, aczkolwiek nie pochodzi ani z Monachium, ani też z Paryża, i jest płodem niemiecko-angielskiego artystycznego przemysłu, w połączeniu z motywami amerykańskimi. Jest to styl kolejowo-wagonowy, pomieszany z motywami akwaryowymi, chaos przeróżnych, anatomicznych niemal kształtów, styl, który poczyna być wprost międzynarodowym, a zwie się dumnie: „współczesnym“. „modern“.

Próbowano tu i ówdzie zindywidualizować ten artystyczno-koszarowo-uniformowy szablon i nadać mu jakiś charakter, jak dotąd jednak, niebardzo się to udawało. Ogólnie biorąc, jest „secesya“ wszędzie jednakowa: w Berlinie ma nieco więcej sztywności, w Wiedniu jest trochę jaskrawsza, w Monachium falista i pełna wykrętasów, w Belgii — dzika. Bo nawet i w Wiedniu zainscenowano „secesyę“ w świecie artystycznym, ba, nawet w najobskurniejszych „przybytkach sztuki“ pozwolono sobie na tę samą zabawę, wszędzie przychodziło do konfliktów między „akademią“ a „młodymi“, którzy, osiągnąwszy raz swój cel, pospieszali co rychlej zmieniać się w „filistrów mody“. W ten sposób secesya poza obrębem Paryża posunęła się znacznie dalej od swego paryskiego pierwowzoru, a skutkiem tych extrawagancyi jest to iż wytwory tej secesyi zostały w Paryżu ochrzczone nazwą „stil Allemand“, albo też „Viennois“, a pogardliwe wzruszenie ramionami jest jedyną oceną, z jaką się tam zwykły spotykać. Francuzi odznaczają się zbyt dobrym smakiem, aby mogli znaleźć upodobanie w takich wytworach „sztuki“. Pojęcie „secesyi“ nie jest i nie może bynajmniej być równoznacznem z pojęciem jakiegoś stylu, a w najczęściej dziś spotykanym sensie jest synonimem „modnego towaru“.

Ornamentyka w kształcie i kolorze, oraz kilka specyalnych form sprzętów stanowią całą jej zawartość, a nie należy zapominać o tem, iż olbrzymią grają w niej rolę setki starych motywów sztuki wschodniej, a w szczególności japońskiej.

T. zw. „sztuka stosowana“ jest jedynem polem, na którem wpływ secesyi najbardziej daje się odczuć: sztuka czysta wyemancypowała się rychło z pod tego niewolniczego jarzma. Jeżeli jednak ktoś pragnie za każdą cenę widzieć w „secesyi“ jakiś styl, jeżeli chce pod tę nazwę podciągać wypływające co chwila nowe kombinacye farb i wzorów, dziwaczne kształty mebli i naczyń, to taka secesya ma niewiele wspólnego ze sztuką, i jest w gruncie rzeczy jedynie określeniem na panującą dziś modę. A moda nigdy nie idzie ręka w rękę ze sztuką, gdyż pierwsza jest słabowitem, z góry na rychłą śmierć skazanem zjawiskiem, podczas gdy druga nie jest wypływem słabości ludzkiej, lecz objawieniem ducha i jako taka nie może podlegać niszczącemu wpływowi czasu, ani kaprysom mody.

Wyraz „secesya“ wyjdzie pewnie niedługo z użycia tak, jak czerwono-zielone krawaty i fantastyczne suknie, pod jej znakiem powstałe, gdyż wszystko po sobie, co jest modą, przemija, nie zostawiając żadnych wyraźnych śladów, a wytwory „secesyi“ będą dla przyszłych historyków sztuki „corpus delicti“ do wydania ostrego może, lecz sprawiedliwego sądu o manowcach, po których błądził gust ludzkości u kresu XIX stulecia. Prawdopodobną jest rzeczą, iż przyszłe pokolenia nie zatrzymają w swoim skarbcu niczego z dzisiejszych secesyonistycznych rupieci, nawet wrodzona ludziom cześć dla przeszłości nie uratuje ich od słusznej zagłady.

Wykazać możliwość takiego obrotu rzeczy było celem powyższych uwag. Nie jest wykluczonem, iż autor tych słów będzie sam nazwany secesyonistą, gdyż odłącza się od innych, którzy bez opamiętania pędzą z wartkim prądem mody; określenie takie będzie dlań słusznem i — zaszczytnem.

X...

Teatry paryskie podczas wystawy.

(Dokończenie).

Paryż we wrześniu.

Nikt by jednak nie zdołał odgadnąć, jaki teatr stał mi się źródłem nietylko najsilniejszych, lecz także najoryginalniejszych wrażeń, których doznałem tego lata w paryskich teatrach.

Oto na wystawie, przy t. zw. „Rue de Paris“ wznosi się cały szereg istnych bud jarmarcznych, w których rozbiła swe namioty sztuka, rzec można, jarmarczna, nie tyle wykwintna ile reklamowo-głośna, i obliczona raczej na pieniężny niżeli na artystyczny efekt. W jednym z takich prowizorycznych przybytków sztuki poświęconym znanej płomienisto-serpentynowej tancerce Loïe Fuller, mieści się japońska artystka Sada Yako wraz z całą trupą żółtych aktorów. Ciekawość skusiła mnie do wstąpienia w progi tego teatrzyku i wyszedłem stamtąd jeżeli nie oczarowany, to przynajmniej oszołomiony i wstrząśnięty do głębi nawałem nowych, potężnych wrażeń.

Sztuka którą przedstawiano jest nader prymitywnie zbudowaną, to też można się jak najwygodniej obejść bez francuskiego streszczenia, które dostaje się wraz z afiszem. Zresztą gra mimiczna Japończyków jest niesłychanie wyrazistą, a to, co recytują jest tylko dodatkiem, brzmi nakształt ciągłej skargi oraz nieskończonych okrzyków zdziwienia, i przypominając od czasu do czasu bojaźliwe... szczekanie, tworzy niejako nastrojowy akompaniament do pełnej wyrazu gestykulacyi.

Bohaterką sztuki jest „Geisha“, znana dotąd w Europie jedynie z operetki, która w dramacie japońskim wychodzi na tragiczną bohaterkę. Porzucona przez kochanka pędzi za nim aż do świątyni, strażników, broniących jej przystępu ułagadza — tańcem, i dostawszy się wreszcie do środka znachodzi niewiernego w objęciach narzeczonej. To daje powód do niesłychanych wrzasków i bijatyki, zakończonych śmiercią nieszczęsnej „geishy“.

Jak z tego widać, intryga niezbyt wyszukana, ale gra aktorska wypełnia te grube kontury tysiącem subtelnych rysów, tchnąc w nie jakieś dziwne, odmienne od każdego innego życie. A mimo tej odrębności, która musi razić swoim egzotycznym kolorytem, widzi się w akcentach, ruchach i pozie tyle prawdy, takie bogactwo w oddaniu przejść i walk duchowych, że trudno się nie zdumieć. Prócz tego dramaturg japoński umie wprowadzić widza w nastrój i to tak potężny, tak narzucający się i oczom i uszom, że maeterlinckowska gra na nerwach jest w obec niego dziecinną zabawką. A przecież środki przezeń używane są nader proste. Pomijając już ustawiczne zmiany oświetlenia, które można położyć na karb lokalu, w którym produkuje się przecież „płomienista“ Loïe Fuller, zwrócić należy uwagę na muzykalną (jeżeli tak wolno się wyrazić) część sztuki. Przez cały przeciąg akcyi rozbrzmiewają w powietrzu tęskne, długo ciągnione tony skrzypiec, potem odzywa się harfa czy też fortepian, a do kulminacyjnych punktów akcyi przygotowują widza ponure, groźne uderzenia tam-tamu, którego metaliczny, chrzęszcząco przenikliwy dźwięk wzrasta w natarczywem crescendo aż do olbrzymiej potęgi. A po tej burzy miedzianych jęków odzywa się skądś głos ludzki, naprzemian nosowy i gardłowy, nucący jakieś dziwne, tajemnicze melodye...

Zapewne, jest to gra na nerwach, ale już sam fakt, że takie „robienie nastroju“ osiąga swój cel w zupełności, jest sui generis estetyczną przyjemnością.

Sada Yako została przez reklamową prasę ochrzczona dumnem przezwiskiem japońskiej Duse. Nie wdając się w żadne niewczesne porównania, zaznaczę tylko, iż stosunkowo do ram, w których obrębie jest Sada Yako zmuszoną się poruszać, rozporządza ona wcale nie mniejszym od swej europejskiej koleżanki zasobem środków technicznych w głosie i mimice, a sceny konania, zagranej z dobrze miarkowanym realizmem, nie powstydziłaby się i sama Duse...

Wyszedłszy z teatru na elektrycznem światłem zalaną Rue de Paris długo jeszcze miałem przed oczyma kredowo-bladą twarz nieszczęsnej „gejshy“ w obramowaniu czarnych nakształt żmij wijących się włosów, długo jeszcze brzmiał mi w uszach ostatni jej krzyk, przebijający się przez dziwaczne odgłosy nieznanych narzędzi muzycznych...

Nastrój, za którego uprzywilejowanych wynalazców mają się moderniści znalazł się zatem i w najprymitywniejszym, maryonetki przypominającym teatrze i oszałamia widza wcale nie w mniejszym stopniu, aniżeli przedstawienia „Ślepców“ lub „Intruza“.. Wyciągnijcie sobie stąd należyte wnioski, P. T. przysięgli znawcy literatury i sztuki, ja idę jeszcze raz do japońskiego teatru.

Kronika literacko-artystyczna.

LITERATURA.

* Instytut Nobla w Sztokholmie zorganizował nareszcie swój dział literacki, pod kierownictwem sekretarza akademii szwedzkiej, Karola-Dawida Wirsena; bibliotekarzem księgozbioru, który objąć ma utwory pisarzy współczesnych całego świata, zamianowano Karola Warburga, profesora z Gotheborga. Komisya, oceniająca dzieła, składa się z literatów i krytyków. Instytut rozdawać będzie co roku najwybitniejszym działaczom na polu piśmiennictwa wszechświatowego nagrody do wysokości 150 tys. koron; ubiegać się o nie mogą tylko wyjątkowe talenty, jak Tołstoj, Ibsen, Zola i t. d. Specyalistów do oceniania literatur mniej znanych, jeszcze w komisyi wyżej wspomnianej nie wybrano. Do otrzymania nagrody przywiązany jest tylko jeden warunek: aby laureaci osobiście stawili się w Sztokholmie po odebranie pieniędzy.

* Pod tytułem „Goethe i Mickiewicz“, zamieszcza dodatek literacki do „Münch. Allgem Ztg“ studyum A. Ettlingera, w którem autor źródłowo opisuje serdeczne przyjęcie, jakiego doznał król naszych poetów od króla poetów niemieckich Goethego w Weimarze i w którem następnie przeprowadza paralelę między „Faustem“ i „Hermanem i Dorotą“ Goethego, a „Dziadami“ i „Panem Tadeuszem“ Mickiewicza. Z pobytu w Weimarze stwierdza autor, że Mickiewicz nie bardzo się zachwycił wystawieniem „Fausta“ na scenie tamtejszej i że w rozmowach, jakie się toczyły między poetami, Goethe więcej był kosmopolitą a Mickiewicz gorącym patryotą polskim. Goethe tak polubił Mickiewicza, że kazał sobie zrobić jego portret, zatrzymał go w Weimarze aż do dnia 80-ej rocznicy urodzin swoich, poczem pożegnał się z nim bardzo serdecznie. Gdy opuścił jego progi, rzekł do bawiącego w Weimarze rzeźbiarza Dawida d'Angers o Mickiewiczu: „C'est un homme de genie“.

* Stanisław Rzewuski, który od lat paru nie przypomniał się niczem publiczności teatralnej, obecnie znów zaczął pracować dla sceny — jak donosi *Kuryer Warszawski*. — Dramat tego autora „Hrabia Witold“ niebawem przedstawiony będzie w teatrze Antoine'a. „Prócz tego Rzewuski wykończył wielki dramat historyczny, pod tyt.: „Ludwika de San Felice“, którego akcya rozgrywa się we Włoszech na końcu poprzedniego i na początku bieżącego stulecia, w epoce fantastycznej niemal a burzliwej powstania, istnienia i upadku Rzeczypospolitej partenopejskiej. W dramacie występują na scenie: Marya Karolina austryacka, królowa Neapolu, szlachetny jenerał Championnet, subtelny Cimarosa, antypatyczny Horacy Nelsson i piękna Emma Lyona księżna Hamilton“.

* Herbarza Polskiego, wydawanego przez Adama Bonieckiego, wyszły zeszyty od 4 do 8 tomu II. Zawierają one dokończenie litery *B* i początek litery *C*. Liczne podobizny herbów i bardzo sumienne dzieje wielu rodów, częstokroć z tablicami genealogicznemi, jak zawsze, zdobią te zeszyty.

TEATR, MUZYKA I SZTUKI PIĘKNE.

* Zapowiedziany na dziś feljeton teatralny, musieliśmy dla braku miejsca odłożyć do następnego numeru Czytelnicy znajdą w nim obszerne sprawozdanie z dotychczasowej działalności teatru krakowskiego od początku nowego sezonu.

* Włoski minister oświaty, Gallo, wyznaczył nagrodę w kwocie 3000 lirów za najlepszy utwór dramatyczny w języku włoskim wystawiony między 31 sierpnia a 31 grudnia 1900 roku. Sąd o sztukach został złożony w ręce „nieustającej komisyi dla sztuki dramatycznej“.

* Comédie Française wystawiła „Adrjennę Lecouvreur“ z p. Bartet w roli tytułowej. Pierwszą Adrjenną była przed 50 laty słynna tragiczka Rachel, dla której Scribe i Legouvé napisali ten dramat. Drugi z nich jeszcze żyje i mimo 93 lat wieku cieszy się dobrem i czerstwem zdrowiem. Z polskich aktorek sławnie grała Adrjennę Modrzejowska.

* Henry Arthur Jones napisał nową sztukę pod tytułem: „The Lackeys Carnival“ która zostanie wkrótce wystawioną w Londynie na deskach Duke of York Theater.

* Alexandre Bisson, znany autor „Niespodzianek rozwodowych“ przygotował na zbliżający się sezon „tylko“ 4 nowe komedye. „Le bon juge“ trzyaktowa komedya zostanie wystawioną w teatrze Vandeville, „Maison historique“ — w Odeonie. „La petite maison“ jest właściwie librettem do opery komicznej, które zostało przez W. Maneta zaopatrzone w muzykę, a Opéra Comique zajęła się jej wystawieniem. Nadto przygotowuje płodny dramaturg jakąś 3-aktową sztukę dla teatru Nouveauté.

* Wystawa obrazów w Odesie. Nad samym brzegiem uroczego morza Czarnego, w pałacu milionera odeskiego p. Marazli, na bulwarze Mikołajewskim, otworzono w tych dniach prześliczną wystawę obrazów kijowskiego salonu artystycznego. Młoda ta instytucya artystyczna, utworzona przez literata i nowelistę p. Jana Zamarajewa (Ursyna), zaś poparta finansowo przez zastęp mecenasów podolsko-ukraińskich, uwydatnia wielką ruchliwość, bo oto okrom stałej wystawy sztuk pięknych w Kijowie, urządza wystawy przenośne. Po Żytomierzu i Ekaterynosławiu, dziś ma wystawę kijowską Odesa. Nie będziemy tu wymieniać dzieł, jakie p. Ursyn przywiózł do Odesy. Dość przytoczyć nazwiska: Fałata, Kossaka, Żmurki, Piotrowskiego, Ruszczyca, Piątkowskiego, Biernackiej, Okunia, Nałęcza, Stasiaka, Tetmajera, Stanisławskiego, Perdzyńskiego, Kostrzewskiego, Królikowskiego i innych. Z malarzy kijowskich wystąpił akademik Władysław Galimski i znany pejzażysta Wrzeszcz, z odeskich przyłączył się p. Kazimierz Przyszychowski. Nadto jest na wystawie prawdziwy *rara avis*, oryginał Grottgera, a mianowicie jego cykl akwarel: „Szkoła szlachcica polskiego“. Odeska prasa przyjęła wystawę kijowską z wielkiem uznaniem i rozpisuje się bardzo sympatycznie nietylko o wystawionych tam obrazach, ale wogóle o malarstwie polskiem, które mówiąc nawiasem, w Rosyi mało jest znanem.

* Artysta-rzeźbiarz, Wincenty Trojanowski stale zamieszkały w Paryżу, wystawił w *Grand Palais des Beaux-arts* medalion bronzowy, przedstawiający Feliksa Faure'a.

Pracę naszego rzeźbiarza nabyła wdowa po prezydencie rzeczypospolitej dla umieszczenia jej w muzeum, poświęconem pamięci męża.

* Tadeusz Popiel zaszczytnie znany artysta-malarz powrócił z Padwy do Lwowa i pracuje obecnie nad wykończeniem ogromnego ikonostasa, w nowo odrestaurowanej cerkwi ruskiej przy ul. Krakowskiej. Ikonostas składa się z 48 malowideł ze scen biblijnych i żywotów świętych, wszystkie utrzymane w stylu bizantyńskim. Już dziś wnosić można, że będzie to dzieło prawdziwie skończone i piękne.

Równocześnie z malarzem wrócił do Lwowa z wycieczki do Włoch Antoni Popiel artysta-rzeźbiarz, który z świeżemi siłami i zdwojoną energią zabrał się do dalszej pracy około wykonania kolumny Mickiewicza, mającej stanąć na placu Maryackim.

Motto: Cudze chwalicie, swego nie znacie — Sami nie wiecie, co posiadacie.

P. T.

Podejmując poprzednie wydawnictwo „Kraj w obrazach“ z przekonaniem, że nowość ta zainteresuje najszerszy ogół, starałem się przez dokładność materyału i dbałość o estetyczną stronę wydawnictwa, na które to warunki główny kładę nacisk, odpowiedzieć zadaniu pierwszorzędnej publikacyi illustrowanej z treściwemi, możliwie dokładnemi objaśnieniami, dotyczącemi dat historycznych, tudzież szczegółów odnoszących się do przeszłości i teraźniejszego stanu danej **okolicy, miasta, gmachu** lub **zabytku historycznego,** zebranych przez pierwszorzędnych pisarzy naszych. Ukończyłem Seryę I. „Królestwo Polskie“ i przystępuję do wydawnictwa Seryi II. „Galicya w obrazach“!

Wydawnictwo składać się będzie z 24 do 30 zeszytów, a każdy zeszyt obejmie widoki fotodrukowe w rozmiarze $^{19}|_{24}$ ctm., a w ten sposób Galicya utworzy album z około 120 obrazów.

Odpowiedzialny redaktor na Galicyę: *Edmund Kolbuszowski.* Wydawca: *Konstanty Woźniak.*

WARUNKI PRENUMERATY:

NA

„GALICYĘ W OBRAZACH“

Cena pojedynczego zeszytu wynosi 60 hal. (groszy).

Prenumeratorzy, płacący z góry przy rozpoczęciu „Galicyi w obrazach“ 15 koron (za całość) bez względu na to, że ilość zeszytów odpowiednio do materyału może być powiększona, otrzymają ozdobną okładkę za połowę ceny sprzedażnej.

Nadto za przysłaniem 2 koron na opakowanie z wysyłką, otrzymają

bezpłatnie 5 premij wartości 18 koron

a to: obraz **„Kazanie Skargi“** z oryginału Jana Matejki wielkości ($^{18}|_{63}$ ctm.),
Album illustrowane **„Odsłonięcie pomnika Mickiewicza w Warszawie“,**
Album illustrowane **„Ogniem i Mieczem“** podług rysunku **Juliusza Kossaka,**
Poczet **„Królów polskich“** na kredowym papierze wielkości ($^{6}|_{5}$ ctm.)
i **100 kart korespondencyjnych z widokami krajowymi.**

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor: **Kazimierz Ehrenberg.**